

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (33)

(fragmenty)



On – z kolei – najpierw ochoczo zgodził się wystąpić w duecie z Anną Dymną, aby czytać moje wiersze w Teatrze Słowackiego, a potem zatelefonował i przeprosił, że jednak nie może wziąć udziału w niedzielnym salonie, bo nagle „wyskoczył mu” wyjazd za granicę. Salonu przenieść się nie dało, więc w Krakowie się nie pojawił i ostatecznie zastąpił go Edward Linde-Lubaszenco.

Podczas pobytu w Princeton, słynnym miasteczku akademickim, gdzie znajduje się dom Einsteina, dowiedziałem się, że przede mną bywał tam parokrotnie Wojciech Siemion z poetyckimi spektaklami i występował w prywatnym teatrze domowym jakichś swoich dawnych znajomych z Polski, którzy mieli taki kaprys, żeby go sprowadzić...

Reasumując: nie powiem, żebyśmy byli ze sobą specjalnie zaprzyjaźnieni, ale lubiliśmy się i cenili: ja jego jako znakomitego aktora, którego nikt nie jest w stanie zastąpić; on mnie jako poetę o chłopskich korzeniach. Gdy się spotykaliśmy, wiedziałem, że kocha poezję i zna się na niej, więc zawsze było o czym pogadać.

Dlatego śmierć Wojtka przez parę dni dokuczala mi jak bolący ząb, mimo że z czasem człowiek się ze śmierciami coraz bardziej oswaja...

Lwów

Koniec lipca 2010. Sześć dni we Lwowie w gronie przyjaciół. Był ze mną poeta i profesor z Ameryki Leszek Czuchajowski, który urodził się tu i żył jako dziecko przed – bagatela! – osiemdziesięcioma laty. Pojawił się tu pierwszy raz od tamtego czasu. Jednak nie udało mu się spotkać ze sobą malutkim, czemu trudno się dziwić, bo wyjeżdżał na stałe ze Lwowa, mając trzy latka.

Wyprawy do Podhorca, Oleska (zamki) i zwiedzanie sanatorium w Truskawcu.

Obrazy wybitnych polskich malarzy w tujejszej galerii...

Wynajmowaliśmy mieszkanie przy ulicy

Lisienki (Łysenki) 13. O świcie dochodziły do uszu szurania mioteł kobiet sprzątających ulicę.

Wieczorami na podeście w rynku młodzież ukraińska (bardzo dorodna) tańczył salsę, sambę i tango argentyńskie. Prawie wirują nad głowami gapiów, zataczając koła... W dzień gorąco, że można ducha wyzionąć.

Dobra wódka „Chlebnyj dar”, pstrągi z rusztu w restauracji oraz „sal” – paprykowa słonina...

Na starym cmentarzu Łyczakowskim widok szalonych-zakochanych całujących się zapamiętałe na grobach, jakby chcieli udowodnić, że miłość jest silniejsza niż śmierć.

Kilometrowa kolejka do tułeszkiego świętego zakonnika („światnika”), który właśnie przeniósł się do swojego wymodlonego nieba, a w trumnie pozostawił doczesne szczątki wystawione w pobliskiej cerkwi na widok publiczny, hołdy i obcałowywania.

...Szoferzy dokonujący cudów zręczności, aby skutecznie lawirować po kostce brukowej pomiędzy innymi autami...

Końcówka sierpnia – wciąż leje i po raz kolejny ogłoszono stan alarmowy w kilku województwach. Fatalny rok. Na przemian – niemilosierne upały i tropikalne deszcze.

Przesiedziałem dwa miesiące w Borzęcinie (z przerwą na wyjazd do Lwowa i Piwnicznej, gdzie jurorowałem w konkursie poetyckim „Sen o Karpatach”). W Borzęcinie walczyliśmy rodzinnie z komarami, które dawały się wszystkim we znaki. Napisałem (aż!) pięć wierszy, wspomnienie o Siemionie, wstęp do listów Rybowicza, słowo wstępne do interesujących tomików poetyckich Krzyska Lesińskiego i Danusi Hasiak, tekst do opolskich „Stron” zatytułowany „Harasymowicz w czyścicu”... Przeczytałem: „Stąd do wieczności” Jamesa Jonesa, „Koniec jest moim początkiem” Tiziano Terzianego, oryginalne wiersze czeskiego poety Halasa, książkę o elitach II Rzeczypospolitej, tom wspomnień o Wincentym Witosie z nieodległych Wierzchosławic, dokąd zajeżdżałem rowerem w drodze na Dwudniaki... Choć jestem daleki od polityki, gdy czytam o Witosie – z jaką pogardą traktowali go sanacyjni jaśniepanowie i jakim twardzielem pozostał do końca, mimo więzienia, pogrózek ze strony Niemców, sowieńców – nie mogę się oprzeć wzruszeniu... Tamto ludowcowe pokolenie oświeconych chłopów zakochało się, nie zawsze ze wzajemnością, w wyzwolonej Polsce. Ich patriotyzm był jakimś wytryskiem neoficykłej wiary w sprawiedliwe państwo. Już nigdy później w praktycznej wsi nie zanotowano takiej erupcji szlachetnego idealizmu.

31 sierpnia

Wieczorem w I programie polskiej TV prawie trzygodzinny wielki koncert na 30-lecie Solidarności wyreżyserowany przez Amerykanina Wilsona. Przyświecały mu przede wszystkim czarnoskóre gwiazdy i gwiazdki piosenki amerykańskiej. Polską okrasę stanowili: Radziwiłowicz i Janda, recytujący m.in. dwa wiersze Szymborskiej, oraz piosenkarka Kayah. Jacyś tekściarze czy aktorzy wygłaszali po angielsku dęte utwory o wolności i solidarności. Ten koncert, miej-

scami pretensjonalny, miejscami interesujący, bo przełamujący szablony, uzmysłowił mi naszą prowincjonalność. Bo w końcu co to wszystko ma wspólnego z nami, Lechitami i Lechem poruszającym groźnie na scenie siwym wąsem?! I dlaczego owo widowisko zostało wystawione – pewnie za duże pieniądze z kieszeni naszych podatników – nad Wisłą, a nie w Los Angeles czy Nowym Jorku, w dodatku z udziałem prawie samych obokrajowców, jakbyśmy nie mieli polskich artystów? Nie wyobrażam sobie narodowego święta Amerykanów zrealizowanego przez Rosjan, czy święta Francuzów – przez Włochów. Czyżbyśmy utracili całkiem tożsamość i olej w głowie?

W moim rodzinnym Borzęcinie wystąpili za duże pieniądze niejaki Stachurski z zespołem i Piasek. Zbiegło się 5 tysięcy ludzi. Wielki, spektakularny sukces, no i świadomość, że wieś polska nie różni się od Warszawy czy Krakowa.

...Może się i nie różni... ale co z tego? Moim skromnym zdaniem to sięganie „po cudze” jest podobnym przejawem prowincjonalności jak ściąganie czarnoskórych gwiazdorów na jubileuszowy koncert 30-lecia Solidarności.

Pytanie retoryczne na czasie

skoro naśladownictwo
w najwyższej cenie
strojenie się w cudze piórka
sztuką naszych czasów
a bycie globalną papugą
nobilituje

to czy państwo
które nie stać
na to by być sobą
zasługuje na
niepodległość?

„Pan Tadeusz” i Smoleńsk

Funeralia. Jesteśmy mistrzami w odprawianiu żałobnych rytuałów, w wylewaniu krokodyliczych łez, w zrzucaniu na innych winy za własną niefrasobliwość. A oprócz tego czekamy okazji, żeby się nad sobą poużalać, a również, żeby sobie dokopać i powodzić się za czupryny! Zawiść, kłótniwość to pierwszy stopień do piekiełka Polaków, w którym odprawiamy łzawe i martyrologiczne rytuały.

Sprawa katastrofy smoleńskiej została już opisana dawno temu przez Adama Mickiewicza w „Panu Tadeuszu” i zawarta w trzech słowach: „jakoś to będzie”:

Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń
wszędzie,
Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie!

W tych trzech polskich słowach: „Jakoś to będzie” zawierają się zarówno przyczyny upadku polskich nieprzemyślanych i nieprzygotowanych powstań, jaki – przepraszam za ten przeskok w inną epokę i skrót myślowy – katastrofa samolotu na lotnisku w Smoleńsku, gdzie na bałagan polski nałożył się bałagan rosyjski.

cdn.